



Prenumerata wynosi: w Warszawie kwartalnie rs. 1 kop. 80. — Na stacjach pocztowych w Cesarstwie, Królestwie, za granicą i w Redakcji kwartalnie rs. 2 kop. 50. — Półrocznie rs. 5. — Rocznie rs. 10. Numer pojedynczy kop. 17. — w Krakowie prenumerować można w księgarni pana Friedleina. — w Poznaniu w księgarni pana Leitgebera, płacąc za półrocze 8 guldenów albo 5 talarów.

Treść Numeru: Od redakcji. — Sprawozdanie z konkursu ogłoszonego przez Redakcję Przyjaciela Dzieci. — Uczynność i Wdzięczność, komedia w czterech aktach z francuskiego Eugeniusza Labiche i Edwarda Hartin, przetłumaczona przez Miłosławę Kaszewską. — Zielone Okulary, fotografie bez retuszu zdjęt z natury, Wołody Skiba. — Co lubi kobieta? (Wiersz). — Pogadanka. — Doniesienia literackie. — O ubiorach. —

Od redakcji.

W przyszłym trzecim kwartale od 1 Lipca r. b. Tygodnik Mód pod temi samemi co dotąd wychodzić będzie warunkami.

Po ukończeniu powieści *Zielone okulary*, rozpoczniemy druk nową oryginalnie napisaną przez p. Elizę Orzeszkową w dwóch tomach p. t. *Na prowincji*. Dla uniknienia przerwy w odbieraniu numerów, upraszamy o wczesne zapisy, przysyłając należytość wprost do Redakcji pod adresem do J. K. Gregorowicza w Warszawie ulica Żabia N. 956.

Prenumerata wynosi w Warszawie kwartalnie rs. 1 kop. 80, z przesyłką na prowincję zarówno w Cesarstwie jak Królestwie kwartalnie rs. 2 kop. 50.

SPRAWOZDANIE

Z KONKURSU OGŁOSZONEGO

PRZEZ

Redakcję Przyjaciela Dzieci.

W programie określającym warunki konkursu, ogłoszone zostały trzy nagrody a mianowicie:

1. Za powieść *dobrą*, bez względu na jej rozmiar rs. 30.
2. Za *dobry* artykuł treści historycznej lub naukowej, przedstawiający całość, dający dokładny obraz obranego przedmiotu rs. 15.
3. Za najlepszą poezję, bajkę lub powiastkę dla mniejszych dzieci, egzemplarz *Przyjaciela Dzieci* z roku 1868 w ozdobnej oprawie.

Do pierwszego działu nadesłano powieści jedenaście, do drugiego dwa tylko artykuły, oba z zakresu nauk przyrodniczych; do trzeciego wreszcie pięciu autorów przysłało rękopisma obejmujące bajki, wiersze różnej treści i jedną wierszowaną powiastkę.

Dla osądzenia wartości tych artykułów a następnie przyznania nagrody, zaproszone zostało grono osób

pracujących na polu literackim, złożone z pań: Belejowskiej i Kamockiej i z panów: Wójcickiego, Szabrańskiego, Kaszewskiego, Pawińskiego i Lubowskiego.

W przeznaczaniu nagrody dla powieści i artykułów naukowych, oceniający mieli na względzie warunki programu, wyznaczające nagrody nie za najlepszy artykuł z pomiędzy nadesłanych, ale za pracę w tym oddziale bezwzględnie *dobrą*, któreby tak treścią jak obrobieniem odpowiadały wymaganiom literackiej krytyki. Inna zasada przyjętą być nie mogła, jeżeli konkurs miał odpowiedzieć celowi w jakim ogłoszony został, i ta też przewodniczyła ocenieniu prac przy dwóch mianowicie pierwszych działach nadesłanych.

Siedm powieści: 1. *Mały Szweczyk*. — 2. *Czy piękna czy brzydka?* — 3. *Posadzony*. — 4. *Grochówka Żaka*. — 5. *Wybrane od Boga dziecię*. — 6. *Niebieska wstęga*. — 7. *Imieniny Matki*.

Pomimo dążności moralnej jaką się zalecają, nie odpowiedziały warunkom ogłoszonego konkursu. Niektórym z nich brak życia dramatycznego i zręcznego powiązania wydarzeń osnowę powieści stanowiących; inne są za rozwlekłe, napisane stylem niedość poprawnym, niektóre nawet są prostem tłumaczeniem z obcego języka.

W dwóch innych p. t. *Sen Stefanka* i *Dwie Siostry*, obrazowanie już jest żywsze, język lepszy, niektóre nawet sceny ubarwione pewnym wdziękiem dramatycznym, ale jako nie związane z sobą logicznym następstwem myśli, nie wynikające z głównego założenia, pozbawiają prace te jednego z zasadniczych warunków dobrze napisanej powieści.

Nadto w pierwszej przedstawiony sen niby proroczy zbyt ważną odgrywa rolę, co młody umysł wziąć może za podniecie do jakiegoś szkodliwego mistycyzmu: w drugiej wprowadzenie przy końcu ojca niespodzianie zubożonego i obdarzającego córkę i jej narzeczonego krociami, psuje całe założenie; w młodzień bowiem należy raczej wpajać, że nagrodą pociwie i pracowicie spędzonej młodości nie są pobożne bogate zapisy, ale moralne podniesienie własnej osoby, co nawet w mierności jedynie daje tyle upragnione szczęście.

W dziesiątej p. t. *Sen Dziadunia*, jakkolwiek napisanej z większym talentem jak powieści poprzednie, przedstawiona jest nienawiść dziadka do swój wnuczki, zameżnej wbrew jego woli, ułagodzona strasznem widziadłem sennem, które dopiero skłania starca

o twardem sercu do litości i przebaczenia. Osnowa więc tej powieści nie jest odpowiednią ani dla dzieci ani dla młodzieży.

Ostatnia wreszcie jedenasta p. t. *Kasztelanika* opracowana wprawniejszym piórem, wykazująca nawet pewną zdolność powieściopisarską, najprędzej odpowiadałaby wymaganiom konkursu, gdyby nie psuł jej żywioł rozdrażniający, użyty za główną osnowę. Ze względu więc na dążność nieodpowiednią duchowi czasu, a co większa umysłowi czytelników, dla których jest przeznaczona, nagroda przyznana jej nie została. Stosownie zatem do warunku konkursu, ustanawiającego nagrodę za powieść *dobrą* a nie *najlepszą* z przysłanych, oceniający nie mogąc żadnej z nich uznać za odpowiadającą, nagrody żadnej nie przyznali.

Z rozpraw naukowych, pierwsza:

O wpływie kształcenia fizycznych potęg w człowieku na rozwój sztuki w ogólności i na odwrót.

Chociaż napisana dobrym językiem, ale zbyt mało zawiera w sobie właściwej nauki, jakiej od rozprawy żądać należy, nie daje żadnych rozwiązań, jest za rozwlekłą i wygląda raczej na wstęp do czegoś jak na całość.

Druga pod tytułem:

Ważniejsze płody kopalne krajowe.

Nie jest właściwie rozprawą ale wprost rozdziałem Mineralogji, zawierającym klasyfikację kruszców tutejszych. Nie ma w niej żadnych objaśnień o pokładach, o zmianach geologicznych i związku z całą Geografią kraju i skutkiem tego stanowi luźny i suchy materiał, nie mogący rościć tytułu do miana rozprawy.

Z tych powodów obie te prace z pod rozsądzenia konkursowego usunięte zostały.

Z bajeczek, wierszyków i powiastek dla małych dzieci, za najlepsze uznano mające tytuły: *Nauka a potem zabawa* — *Celinka i młode drzewko* — oraz *Dwa pieniążki*. Autorowi zatem ich większością głosów, przyznano nagrodę w egzemplarzu *Przyjaciela Dzieci* z r. z. ozdobnie oprawnym. Po odpieczętowaniu koperty okazało się, że autorem tych wierszyków jest p. *Rodziszewski Tymoteusz*.

Taka sama nagroda stosownie do programu, udzieloną została przez skład Redakcji Przyjaciela Dzieci p. *Feliksowi Mikorskiemu* za nadesłane bajki.

Ponieważ ogłoszony konkurs, według niniejszego sprawozdania nie przyniósł pożądanej korzyści, pragnąc ją zatem zapewnić i zachęcić piszących do pracy tak ważnej dla uczącej się młodzieży, Redakcja postanowiła na nowo konkurs ten ogłosić, ale już na samą tylko powieść, oznaczając ostateczny termin do nadesłania rękopismów na dzień 1 Stycznia r. 1870. Że zaś ogólna kwota pierwiastkowo przeznaczona wynosi rs. 45, takową więc zatrzymując, rozdziela ją na dwie nagrody dla dwóch *dobrych* powieści, przeznaczając bez względu na obszerność, dla jednej rs. 30 dla drugiej rs. 15 z tem jednak zastrzeżeniem, aby one służyć mogły dla młodzieży mniej więcej około lat 14 do 15 wieku liczącej i nie były tłumaczone z obcej literatury.

W zakończeniu tego sprawozdania, niech nam wolno będzie złożyć serdeczne podziękowanie Szanownym Członkom Sądu konkursowego, za ich bezinteresowne trudy, podjęte w interesie dobra piśmiennictwa. Gotowość jaką okazali w przyjęciu tych mozolnych obowiązków, godna zaiste publicznego uznania. Czytanie rękopismów zawsze jest trudnem choćby ich nawet osnowa obudzała zajęcie: tu było ich przeszło jedenaście, dość obszernych, po większej części pisanych niewyraźnie i pozbawionych warunków trud czytania wynagradzających. Co do autorów przynajmniej niektórych powieści na konkurs nadesłanych, niech ich to pierwsze niepowodzenie nie zraża. Unikając błędów w sprawozdaniu tem wymienionych mogą śmiało z pracami swemi wystąpić, do czego ich jak najuprzejmiej zapraszamy.

J. K. Gregorowicz

Redaktor Główny Przyjaciela Dzieci.

UCZYNNOŚĆ I WDZIĘCZNOŚĆ

KOMEDJA W CZTERECH AKTACH

Z FRANCUSKIEGO

Eugénie Labiche i Edwarda Martin,

PRZETŁOMACZONA

przez Miłostawę Kaszewską

(Dalszy ciąg).

Akt II.

Wnętrze oberży w Montanvert opodal od morza Lodowego. — W głębi na prawo wejście główne, na lewo okno; widok na góry okryte śniegiem, na lewo drzwi i komin wysoki. — Stoły, na jednym księga do zapisywania nazwisk podróżnych.

Scena 1.

Hilary. — Lucjan. — Oberżysta. — Przewodnik.
(Lucjan i Hilary siedzą za stołem przy śniadaniu).

Oberżysta. Czy panowie rozkażą co jeszcze?

Lucjan. Kawy!

Hilary. Posił tam przewodnika, bo zaraz idziemy nad morze Lodowe.

Oberżysta (do Przewodnika). Chodźcie ze mną (wychodzą).

Lucjan. A więc, mój Hilary?

Hilary. A więc, mój Lucjanie?

Lucjan. Działania nasze już rozpoczęte, szturm idzie na dobre.

Hilary. Postaraliśmy się naprzód umieścić się w jednym wagonie z rodziną Perryszonów; papa był w siódmym niebie.

Lucjan. Bombardowaliśmy do nich grzecznościami, uprzedzeniami.

Hilary. Ty podałeś swoją gazetę ojcu, który spał nad nią. On w zamian pożyczył ci *Podróż Gulliwera*, książki z obrazkami.

Lucjan. A ty prawie przez pół drogi przytrzymałaś franke, której mechanizm był zepsuty; musiało ci to porządnie zmordować rękę.

Hilary. Tak, ale mama opchała mnie za to czekoladowymi pastylkami.

Lucjan. Pozwoliłeś się karmić.. łakomcze!

Hilary. W Lyonie schodzimy się do jednego hotelu.

Lucjan. A papa, zobaczywszy nas, woła: Ah, co za szczęśliwy traf!

Hilary. W Genewie podobneż spotkanie... nie przewidziane...

Lucjan. W Szamuni znowu toż samo; a Perryszon woła okrutnie za każdym razem: Ah, co za szczęśliwy traf!

Hilary. Wczoraj wieczór dowiadujesz się, że rodzina zamierza wycieczkę do morza Lodowego, i przychodzisz do mojego mieszkania dać mi o tem znać... o wschodzie słońca... jest to rys charakteryzujący szlachetne serce.

Lucjan. Byłoby to w naszym programie... wal-ka szlachetna! Czy nie pozwolisz jajecznicy?

Hilary. Dziękuję... Mój kochany, winienem cię uprzedzić... z całą bezinteresownością, że z Châlon do Lyonu, panna spojrzała na mnie trzy razy.

Lucjan. A na mnie cztery razy.

Hilary. Doprawdy? To rzecz znacząca.

Lucjan. Będzie znaczącą więcej, jak ona na nas zupełnie spojrzeć przestanie. Mnie się zdaje, że teraz ona woli nas obojdwóch... i to może tak jeszcze długi czas potrwać; szczęściem jesteśmy ludzie czasowi.

Hilary. A powiedz mi też, jakim sposobem mogłeś oddalić się z Paryża, będąc pełnomocnikiem spółki żegluga...

Lucjan. Z kapitałem wspólnym dwu milionowym. To rzecz bardzo prosta; poprosiłem samego siebie o maleńki urlop i niebawem go sobie udzieliłem... Mam urzędników wybornych; statki chodzą same, bez mojej pomocy obejdą się, a ja abym tylko był w Paryżu na ósmy przyszłego miesiąca dla wypłaty dywidendy, to i dosyć! Ale ty, współnik bankowego domu... maie się zdaje, że ty za często się wydalasz.

Hilary. O! mój dom bankowy nie zajmuje mnie wcale... Ja przystąpiłem do spółki tylko z moimi kapitałami, a osobę moją rezerwowałem dla siebie, — ja jestem... bankier...

Lucjan. Amator!

Hilary. Tak. I ja, podobnie jak ty, mam interesa w Paryżu dopiero na ósmy przyszłego miesiąca.

Lucjan. A przez ten czas będziemy prowadzić walkę na zabój...

Hilary. Na zabój! jak dwaj dobrzy przyjaciele... Miałem przez chwilę zamiar ustąpienia ci z placu; ale ja na serjo pokochałem Annę.

Lucjan. To szczególna... i ja chciałem ponieść dla ciebie podobną ofiarę... nie żartem... W Châlons jużem był gotów zrobić lewo w tył, ale spojrzalem na nią.

Hilary. A ona taka piękna!

Lucjan. Taka łagodna!

Hilary. Tak przyciągająco uprzejma!

Lucjan. I zostałem.

Hilary. O, ja ciebie najzupełniej rozumiem!

Lucjan. Otóż to! To aż miło, doprawdy, mieć ciebie za nieprzyjaciela. (ściska mu rękę) Kochany Hilary!

Hilary. (podobnie). Dobry Lucjanie! Ale cóż to, pan Perrichon nie przychodzi. Muszę chyba sam pójść się dowiedzieć czy czasem nie zmienił projektu.

Lucjan. A kawa?

Hilary. Nie będę pił... do widzenia! (wychodzi szybko drzwiami w głębi).

Scena 2.

Lucjan, Oberżysta.

Lucjan. Wyborny chłopak! serce złote, pełen zapachu ale to nie umie żyć; wyszedł bez kawy! (n. str.) Panie gospodarzu!..

Oberżysta. Słucham pana.

Lucjan. Proszę o kawę (Oberżysta wychodzi, Lucjan zapala cygaro). Wczoraj częstowałem cygarem naszego teścia... nie poszło mu jakoś na zdrowie...

Oberżysta (wnosząc kawę). Służę panu (wskazuje na księgę). Może pan zechce napisać parę słów w księdze podróżnych?

Lucjan. Ja?... ja nie pisuję nigdy po jedzeniu a przed jedzeniem rzadko... Ciekawym też tych delikatnych i dowcipnych myśli osób zwiedzających góry. (Przewraca kartki i czyta) „Jeszcze też nigdy nie wycierał nosa tak wysoko!.. Podpisano: podróżny zakatarzony...“ (Przewraca dalej) Jakieś piękne pismo. (czyta) „Jakże to miło podziwiać wielkość natury w towarzystwie żony i synowicy!.. Podpisano: Malaquais, negocjant...“ Jużem nieraz zadawał sobie pytanie, dlaczego my, Francuzi, tak dowcipni u siebie w domu, jesteśmy tak głupimi w podróży! (krzyk i wrzawa zewnątrz).

Oberżysta. O, mój Boże!

Lucjan. Co tam takiego?

Scena 3.

Lucjan, Perrichon, Hilary, Pani Perrichon, Anna, Oberżysta, Przewodnik.

(Perrichon wchodzi, podtrzymywany przez żonę i przewodnika).

Hilary. Żywo! wody! octu! soli!

Lucjan. Cóż to się stało?

Anna. Ojciec mało się nie zabił.

Lucjan. Nie może być!

Perrichon, (siedząc). Żono! córko! lepiej mi już!..

Anna, (podając mu wodę z cukrem). Niech ojciec wypije... to orzeźwi...

Perrichon. Dziękuję ci... a to wypadek (pije)!

Pani Perrichon. Twoja też to wina... Tobie też to jeździć na koniu... Ojciec dzieciom... i do tego z ostrogami!..

Perrichon. Ostrogi tu nie nie zawiniły... to szkapka bezczna...

Pani Perrichon. Ukłuleś ją zapewne niechcący ona cię też zrzuciła...

Anna. I gdyby nie nadbiegł pan Hilary... ojciec byłby zsunął się w przepaść...

Pani Perrichon. Oj był on już w niej po uszy... widziałam kiedy padał jak kula... krzyczałyśmy też wniebogłosy...

Anna. Wtedy pan Hilary rzucił się!..

Pani Perrichon. Z taką odwagą i zimną krwią!.. Ah, pan jesteś naszym zbawcą... bo gdyby nie pan... mój biedny mężysko... (wybucha płaczem)

Hilary. Ale niebezpieczeństwo już minęło, uspokój się pani...

Pani Perrichon (wciąż płacze). Nie; jakoś mi lżej. (do męża) To cię nauczy kłaść ostrogi (zanosząc się). Ty nie kochasz żony i dzieci.

Anna (do Hilarego). Pozwól pan, że mu złożę podziękowanie razem z mamą; o! gorące podziękowanie. Ja całe życie dzień ten pamiętać będę; o! całe życie!..

Hilary. Ah, pani!

Perrichon. To wszystko nic. Odemnie to największa ci też wdzięczność należy, panie Hilary. Nie! pozwól pan, że cię zwać będę poprostu Hilarym.

Hilary. O, panie — bardzo m wdzięczem.

Perrichon. Hilary, podaj mi rękę... Ja nie jestem wykwinnym w mowie. Ale mam serce... dopóki ono bić będzie, dopóty w niem miejsce dla ciebie! (ściska mu rękę) Tyle tylko słów moich.

Pani Perrichon. Dziękuję, panie Hilary — dziękuję.

Anna. Dziękuję, panie Hilary — dziękuję.

Hilary. Pani!

Lucjan, (na str.) Widzę, że źle zrobił, zostawszy na kawie!

Pani Perrichon, (do oberżysty). Każ pan odprowadzić konia, wrócimy powozem...

Perrichon (wstając). Ależ zapewniam cię moja duszo, że ja jeżdżę wcale nieźle... (z boleścią) Aj!

Wszyscy. Co to?

Perrichon. Nic... w boku... Każ odprowadzić konia!

Pani Perrichon. Pójdź, wypoczuj chwilę; do widzenia, panie Hilary.

Anna. Do widzenia, panie Hilary.

Perrichon. (ściskając energicznie rękę Hilarego). Do widzenia w krótko, Hilary! (z boleścią) Aj... za mocno ścisnął szkapę! (wchodzi na lewo z żoną i córką)

Scena 4.

Hilary, Lucjan.

Hilary. I cóż ty na to, mój kochany Lucjanie?

Lucjan. Ha, — cóż!.. miałeś dobry instynkt, żeś wyszedł. Ocaliłeś ojca, umówiłeś się z przepaścią, tego nie było w programie!

Hilary. Przypadek...

Lucjan. Papa nazywa cię już Hilarym, matka płacze, a córka pali ci strzeliste dziękczynienia... Jestem pobity, to rzecz uroczysta! i nie mi nie pozostaje tylko ustąpić ci miejsca...

Hilary. Cóż znowu, żartujesz?..

Lucjan. Tak mało żartuję, że dziś wieczór wyjeżdżam do Paryża.

Hilary. Jakto?

Lucjan. Gdzie ty za powrotem zastaniesz przyjaciela... który życzy ci powodzenia.

Hilary. Wyjeżdżasz więc? dziękuję!

Lucjan. To prawdziwy odgłos serca.

Hilary. A, przepraszam, cofam go!.. po tej ofiarze jaką czynisz dla mnie...

Lucjan. Ja? porozumiejmy się... ja dla ciebie żadnej nie czynię ofiary. Jeżeli się cofam, to dla tego tylko, że nie widzę dla siebie warunków powodzenia; bo i teraz nawet, gdybym dostrzegł choć jeden najmniejszy, pozostałbym jeszcze.

Hilary. Aha!

Lucjan. Szczególna rzecz odkąd mi wymyka się Anna, zdaje mi się, że ją więcej kocham.

Hilary. Rozumiem to, — to też nie będę żądał od ciebie przysługi, której miałem zamiar żądać...

Lucjan. Cóż takiego?

Hilary. Nie, nie!

Lucjan. Proszę cię, powiedz.

Hilary. Ponieważ oświadczyłeś, że wyjeżdżasz, myślałem, czybyś zobaczywszy się z Perryszonem, nie natracił mu kilku słowy o mojem położeniu, o moich nadziejach...

Lucjan. A — do licha.

Hilary. Nie mogę sam tego uczynić... zakrawałoby to na chęć żądania nagrody za wyświadczoną przysługę.

Lucjan. Koniec końców, chcesz abym cię forytował? Wiesz, że to propozycja dość oryginalna w swoim rodzaju?

Hilary. Odmawiasz?

Lucjan. Ale owszem, mój drogi, przyjmuję najchętniej.

Hilary. Mój przyjacielu!

Lucjan. Przysnaj, że ze mnie wcale wygodny rywal... rywal, który się wstawia. (słychać głos Perryszona w kulisie) Słyszysz teścia! Idź wypal cygaro i wracaj.

Hilary. Nie wiem, doprawdy, jak ci zawdzięczyć...

Lucjan. Bądź spokojny; poruszę w nim strunę wdzięczności (Hilary wychodzi głębia).

Scena 5.

Lucjan, Perrichon, później Oberżysta.

Perrichon (wchodząc, przez pół w kulisie). Rozumie się, że mnie ocalił; naturalnie że mnie ocalił i dopóki serce bić we mnie będzie... wszak mu powiedziałem.

Lucjan. I cóż, czujesz się pan lepiej?

Perrichon. O, już mi zupełnie dobrze. Wypiłem trzy krople rumu w szklance wody i za kwadrans spodziewam się hasać po morzu Lodowem. A gdzie to pański przyjaciel?

Lucjan. Tylko co wyszedł.

Perrichon. Dielny to chłopiec... moje panie bardzo go lubią.

Lucjan. O, jak go poznają lepiej! To serce złote. Usłużny, wylany, a skromny!..

Perrichon. To rzecz rzadka.

Lucjan. A przytem bankier... tak, to bankier.

Perrichon. Czy tak?

Lucjan. Wspólnik domu Turneps, Desroches i Comp., powiedz pan, czy to miło jak kogo wyratuje bankier; bo nareszcie on pana wyratował. Gdyby nie on...

Perrichon. Zapewne... zapewne... to bardzo grzecznie z jego strony.

Lucjan (zdziwiony). Grzecznie?... jakto?..

Perrichon. Czy pan chciałbyś uszczuplać wartość jego postępków?

Lucjan. To także!

Perrichon. Wdzięczność moja skończy się równo z życiem; tak dopóki to serce bije. Ale, mówiąc między nami, przysługa jaką on mi wyświadczył, nie jest znowu tak wielką, za jaką chce ją podać moja żona i córka.

Lucjan (zdziwiony). O!

Perrichon. Tak. One sobie nabiły głowę. Ale pan wiesz, kobiety...

Lucjan. Jednak w chwili kiedy Hilary pana zatrzymał, leciałeś pan jak bomba...

Perrichon. Leciałem, to prawda... ale z przytomnością umysłu zadziwiająca... Spostrzegłem karłowaty krzak sośniny, za który tylko com miał pochwyć; jużem go nawet trzymał, kiedy on nadbiegł.

Lucjan (n. str.) Ho, ho; zobaczycie państwo, że on się sam wyratował.

Perrichon. Wreszcie, niemniej mu wdzięczny jestem za jego dobre chęci... Chciałbym się z nim zobaczyć jeszcze... ponowić mu oświadczenia wdzięczności... nawet zaproszę go do siebie tej zimy.

Lucjan, (na str) Na szklankę herbaty!

Perrichon. Podobno to nie pierwszy raz taki wypadek zdarza się w tem miejscu... Mówił mi oberżysta, że w przeszłym roku jakiś anglik... lord... bardzo dobry jeździec!.. bo niech co chce żona mówi, ostrogi moje tu nie zawiniły... wpadł w tę samą jamę.

Lucjan. Doprawdy?

Perrichon. Przewodnik go wydobył... widzisz pan więc, że ztamtąd doskonale wydobyć się można... Otóż anglik dał mu sto franków.

Lucjan. To dobra zapłata.

Perrichon. Spodziewam się!.. Jednakże taka rzecz sto franków warta.

Lucjan. Ani grosza więcej. (na str) O, nie, ja nie odjadę.

Perrichon. A cóż, ten przewodnik nie przychodzi.

Lucjan. Czy panie są gotowe?

Perrichon. Nie, one nie pójdą; uważasz pan... ale ja liczę na pana.

Lucjan. I na Hilarego?

Perrichon. Jeżeli zechce, to i ja przecież nie sprzeciwię się towarzystwu pana Desroches.

Lucjan. (na str) Pana Desroches! Jeszcze krok, a będzie go nienawdził.

Oberżysta (wchodząc). Panie, przewodnik czeka. Oto kostur (podaje mu).

Perrichon. Dziękuję, taki kostur to właśnie! Tam musi być ślisko, a ponieważ nie chcę względem nikogo zasięgać zobowiązań...

Oberżysta. Czy pan zapisze co w księdze podróży?

Perrichon. Naturalnie — tylko nie chciałbym napisać nic pospolitego... potrzeba mi jakiejś myśli pięknej... przejdę się trochę aby rozbudzić fantazję. (do Lucjana) Wracam za chwilę (wychodzi na prawo, za nim Oberżysta).

Scena 6.

Lucjan, potem Hilary.

Lucjan. (sam) Ależ ten rymarz, to skarb niewdzięczności. Owoż skarby, według art. 716 Kodeksu Cywilnego, należą do tego kto je odkryje...

Hilary (na wstępie). — I cóż?

Lucjan (na str.) — Biedny chłopak!

Hilary. Mówiłeś z nim!

Lucjan. Mówiłem.

Hilary. Przełożyłeś mu moje żądanie?

Lucjan. Nie.

Hilary. Dlaczego?

Lucjan. Obiecaliśmy być wzajem dla siebie szczerzy. Otóż mój Hilary, nie odjeżdżam, prowadzę dalej walkę.

Hilary (zdziwiony). — A, to co innego!.. a możnaż zapytać o powody, które cię skłoniły do zmiany postanowienia?

Lucjan. O powody?... mam tylko jeden, ale potężny: spodziewam się wygrać.

Hilary. Ty?

Lucjan. Zamierzam obrać inną drogę jak ty, i prędzej przybyć do celu.

Hilary. Owszem... służy ci wszelkie prawo...

Lucjan. Ale swoją drogą walka odbywać się będzie szlachetnie i w sposób przyjazny.

Hilary. Nieinaczéj.

Lucjan. To nieinaczéj coś sucho wygląda.

Hilary. Przepraszam cię... (podaje mu rękę) Przyrzekam ci, Lucjanie.

Lucjan. A! to co innego!

Scena 7.

Ciż, Perrichon, potem Oberżysta.

Perrichon. Jestem więc gotów... Ah panie Hilary.

Hilary. Czyś pan już przyszedł do siebie po tym wypadku?

Perrichon. Zupełnie!.. ej! nie mamy co już mówić o takiej drobnostce... jużem i zapomniał o tem!..

Lucjan. (na str.) Zapomniał!.. ależ on jest prawdziwszy niż sama natura!..

Perrichon. Wyprawiamy się na morze Lodowe... czy pan z nami?..

Hilary. Jestem nieco znużony... pozwolą mi państwo pozostać...

Perrichon (pospiesznie). A i owszem!.. nie krepuj się pan! (do wchodzącego Oberżysty). Ale! panie gospodarzu, proszę o księgę podróży. (siada i pisze).

Lucjan (na str.) Widać że już znalazł myśl... myśl piękną.

Perrichon (kończąc pisać). — Tak... otoż to jest, co się zowie (czyta z nadętością) „O! jak człowiek małym się wydaje, gdy nad nim wznosi się Lodowe Może!”

Lucjan. A znakomita myśl!

Hilary (na str.) Pochlebca!

Perrichon (skromnie). Nie każdy ma taką myśl.

Lucjan (na str.) Ani taką ortografję; napisał *może* przez *z*: (syllabizując).

Perrichon (do Oberżysty, ukazując mu księgę). Ostrożnie, bo jeszcze mokre!

Oberżysta. Przewodnik czeka na panów.

Perrichon. A więc w drogę!

Lucjan. W drogę! (wychodzi z Perryszonem za nie-mi Oberżysta).

Scena 8.

Hilary, potem Oberżysta, następnie Major Montfort.

Hilary. Szczególna jakaś zmiana zaszła w Lucjanie! Damy są tam... wkrótce zapewne wyjdą, zobaczę je... będę z nimi mówił. (Siada przy kominku i bierze gazetę) Zaczekam.

Oberżysta (u wniścicia). Tędy panie...

Montfort (wchodząc). Chwilę tylko zabawię... wybieram się natychmiast do Lodowego morza (siada przy stole na którym leży otwarta księga podróży) proszę o szklankę grogu tylko mocnego.

Oberżysta (wchodzi na prawo). Zaraz panie.

Montfort (spozstrzega księgę). A, a! księga podróży! ciekawym... (czyta) „O jak człowiek wydaje się małym, kiedy się nad nim Lodowe może!”... podpisano: Perrichon... może! Ten jegomość zasługuje, aby mu dać lekcję ortografii.

Oberżysta (przynosząc grog). Służę panu (stawia na stoliku, na lewo).

Montfort (pisząc w księdze). Panie gospodarzu...

Oberżysta. Słucham.

Montfort. Czy czasem pomiędzy osobami przybyłymi tu dziś rano, niema jakiego pana Hilarego Desroches?

Hilary. To ja, panie.

Montfort (wstaje). Pan?.. przepraszam. (do Oberżysty) Zostaw nas panie. (Oberżysta wychodzi) Czy mam zaszczyt mówić z panem Hilarym Desroches, z domu Turneps, Desroches i współka?

Hilary. Tak, panie.

Montfort. A ja jestem Major Montfort. (Siada na lewo, popijając).

Hilary. Bardzo mi to przyjemnie; ale ja nie mam zaszczytu znać pana Majora.

Montfort. Doprawdy? A więc oświadczam panu, że ścigasz mnie sądownie za wexel, który nieostrożnie puściłem w obieg.

Hilary. Za wexel?

Montfort. Uzyskałeś pan nawet przeciwko mnie prawo aresztu osobistego.

Hilary. Być może, ale ja tu osobiście nie działałem, tylko dom.

Montfort. Ja też do pana nie mam najmniejszej urazy, ani do domu. Chciałem tylko widzieć się z panem, aby mu powiedzieć, że bynajmniej nie dla uniknięcia aresztu wyjechałem z Paryża

Hilary. Nie wątpię.

Montfort. Przeciwnie!.. Jak tylko wrócę do Paryża, za jakie dwa tygodnie, może nawet wcześniej, dam panu znać i będę nieskończenie wdzięczny jak mnie pan wsadzisz do więzienia za długi, do Clichy.. i to jaknajprędzej.

Hilary. Zartujesz pan.

Montfort. Bynajmniej!.. Proszę pana o to, jak o przysługę.

Hilary. Wyznaję, że nie rozumiem (wstają).

Montfort. Co prawda, to i ja sam jestem w kłopotcie, jak mam to panu wytłómaczyć! Przepraszam, czy pan jesteś kawalerem?

Hilary. Tak, panie.

Montfort. Skoro tak, to mogę panu uczynić wyznanie... Mam słabość... Kocham...

Hilary. Pan?

Montfort. W moim wieku, to trochę śmiesznie?

Hilary. Tego nie powiadam.

Montfort. O, nie pan sobie z tego nie rób. Zaszalałem się za jedną... prześliczną... którą spotkałem raz na balu w Mabilie... Imię jej Anita...

Hilary. Znałem jedną Anitę...

Montfort. To zapewne ta sama!... Myślałem że to potrwa trzy dni, alisci ona mnie trzyma już trzy lata! Oszukuje mnie, rujnuje, śmieje mi się w nos!... Ja wciąż sprawiam jej nowe meble, ona je nazajutrz odprzedaje. Chcę ją porzucić, wyjeżdżam sto mil drogi, przybywam nad morze Lodowe, a nie jestem pewien czy dziś w wieczór nie wrócę do Paryża. Uczucie wzięło nademną górę! Miłość w pięćdziesięciu latach, widzisz pan, to tak jak reumatyzm, odepić się niepodobna.

Hilary (z uśmiechem). Nie potrzebowałem tych zwierzeń, aby wstrzymać postępowanie sądowe, panie Majorze napiszę więc natychmiast do Paryża...

Montfort (żywo). A, broń Boże! nie pisz pan. Ja chce być zamkniętym, może to będzie środkiem wyleczenia. Jeszcze go nie próbowałem.

Hilary. Jednakże...

Montfort. Pozwól pan, ja mam prawo za sobą.

Hilary. Ha, skoro pan Major chce koniecznie...

Montfort. Błagam pana o to... nalegam... Jak tylko przyjadę do Paryża, prześlę panu mój bilet wizytowy i proszę zaraz przystąpić do działania. Nigdy przed dziesiątą nie wychodzę (z ukłonem). Jestem uszczęśliwiony z poznania pana i nigdy nie zapomnę szlachetnego przyrzeczenia jakie uczyniłeś, aby mnie od przykrości więzienną oswobodzić.

Hilary. Ależ panie Majorze... uważam za powinność... (kłaniają się z uściśnieniem ręki. *Montfort* wychodzi).

Scena 9.

Hilary, potem Pani Perrichon, następnie Anna.

Hilary. Ten przynajmniej otwarty i nie owija w bawełnę. — A! pani Perrichon.

Pani Perrichon. Sam na gospodarstwie? Sądziłam, że pan pójdzie razem z temi panami.

Hilary. Byłem tu już w przeszłym roku; prosiłem więc pana Perryszona, aby mi pozwolił pozostać z paniami.

Pani Perrichon. Bardzo dziękuję (na stronie) To wcale światowy człowiek!.. (głośno) Pan lubisz Szwajcarię?

Hilary. Ha, już ciż trzeba gdzieś letnią porą pojechać.

Pani Perrichon. O, ja nie chciałabym mieszkać w tym kraju... za wiele tu gór i przepaści... Moja rodzina pochodzi z Beance.

Hilary. A... rozumiem.

Pani Perrichon. Niedaleko Etampes...

Hilary (na str.) Musimy mieć jakiego korespondenta w Etampes; byłoby to ogniwem. (głośno) Czy nie zna pani pana Pingley w Etampes?

Pani Perrichon. Pingley!.. to mój kuzyn! Zna go pan?

Hilary. Doskonale (na str.) Nie widziałem go w życiu!

Pani Perrichon. Bardzo miły człowiek!

Hilary. Bardzo!

Pani Perrichon. Żeby nie ten defekt...

Hilary. Zapewne, gdyby nie ten defekt...

Pani Perrichon. Ogluchnął w czterdziestym siódmym roku życia!

Hilary (na str.) Al to nasz korespondent jest głuchy! Nieczemu też to nigdy nie odpowiada na nasze listy.

Pani Perrichon. Szczególna rzecz! trzebaż żeby przyjaciel Pingleya ocalił mi męża!.. Jakież to dziwne wypadki zdarzają się na świecie.

Hilary. Często też wypadkom przypisujemy okoliczności zgoła od nich niezależne.

Pani Perrichon. O, tak; często przypisujemy... (na str.) Co on mówi?

Hilary. A więc i nasze spotkanie na drodze żelaznej, potem w Lyonie, następnie w Szamuni, i tu nawet, wszystko to pani kładzie na karb wypadku?

Pani Perrichon. W podróży zdarza się spotkać...

Hilary. Zwłaszcza kiedy się szuka.

Pani Perrichon. Jakto?

Hilary. Tak, pani! Nie wypada mi dłużej odegrać tej komedii wypadku; winienem wyznać prawdę pani ze względu na jej córkę.

Pani Perrichon. Na moją córkę.

Hilary. Wybaczy mi pani? Gdym ją pierwszy raz zobaczył, byłem zachwycony, oczarowany.. Dowiedziałem się, że państwo jedziecie do Szwajcaryi... i pojechałem.

Pani Perrichon. Za nami?..

Hilary. Krok w krok... Co czynić... Kocham...

Pani Perrichon. Panie...

Hilary. O, bądź pani spokojną! Kocham z całym szacunkiem, z całym poszanowaniem należnym dziewczycy, której pragnąłbym posiadać rękę.

Pani Perrichon (tracąc głowę, na str.) Oświadczyły! A męża mego tu nie ma! (głośno) Zapewne, panie... to mi bardzo przyjemnie... nie, to dla nas za szczytnie... bo obojeście pana... edukacja... Pingley... przysługa jaką nam pan oddałeś... ale mąż mój wyszedł... na morze Lodowe... i jak tylko powróci...
Anna (wbiega żywo). Mam!... (zatrzymuje się) Ah, państwo rozmawiają?

Pani Perrichon (zmięszana). Rozmawialiśmy, to jest tak! mówiliśmy o Pingleju! Pan zna Pingleya; nieprawda?

Hilary. Tak jest; znam pana Pingleya!

Anna. A, to dobrze!

Pani Perrichon (do Anny). Jakżeś ty uczesana!.. a suknia... a kołnierzyk... (cicho) Trzymaj że się prosto!

Anna. (zdziwiona) Co to się znaczy? (krzyk i zgiełk zewnątrz).

Pani Perrichon i Anna. O Boże!

Hilary. Co to za krzyki!..

Scena 10.

Ciż, Perrichon, Lucyan, Oberżysta, Przewodnik.

(Lucjan wchodzi podtrzymywany przez Oberżystę i Przewodnika).

Perrichon (bardzo wzruszony). Prędzej! wody! ocetu! soli! (Sadza Lucjana).

Wszyscy. Co to jest?

Perrichon. Wypadek okropny! (przerywając sobie) Dajcie mu się napić, natrzyjcie mu skronie!

Lucjan. Dziękuję... czuję się lepiej.

Hilary. Co się to stało?

Lucjan. Gdyby nie odwaga pana Perryszona...

Perrichon. Nie, daj pan pokój nie rozmawiaj!.. (opowiadając) Straszna rzecz!.. Byliśmy na morzu Lodowym... Góra Biała spoglądała na nas spokojnie i majestatycznie...

Lucjan (na str.) Rozpoczyna Odysseję.

Pani Perrichon. Ale opowiadaj że prędzej!..

Anna. Prędzej ojczel!..

Perrichon. Zaraz; pozwólcieź mi myśli zebrać. Szliśmy z pięć minut, zamyśleni, po ścieżce stromiej wijącej się między dwiema przepaściami najeżone mi lodem. Ja szedłem pierwszy!

Pani Perrichon. Co za nieroztropność!

Perrichon. Wtem słyszę za sobą łoskot; obracam się: pan Lucjan zniknął w jednej z tych jam bezdennych, których sam widok przejmuje dreszczem...

Pani Perrichon (znieczierpliwiona). Ależ mój kochany...

Perrichon. Wtedy ja, idąc tylko za popędem odwagi, ja ojciec rodziny, rzucać się...

Pani Perrichon i Anna. Nieba!

Perrichon. Na brzeg przepaści, podaje mu kostur.. on gramoli się.. ja ciągnę.. on ciągnie.. my ciągniemy, i po długiej a szalonej walce, wydobywam go z nicości, wyprowadzam przed oblicze słońca, tego współnika naszego, dobroczyńcy (wyciera czoło chustką).

Anna. Ah, ojczel!

Pani Perrichon. Ah, mężu!

Perrichon (całując żonę i córkę). Tak moje drogie, piękna to karta..

Hilary (do Lucjana). Jakżeż się czujesz?

Lucjan (cicho). Bardzo dobrze; bądź całkiem spokojny. (Wstaje) Panie Perrichon, wróciłeś pan matce syna...

Perrichon (majestatycznie). To prawda!

Lucjan Siostrze brata!

Perrichon. Społeczeństwu człowieka.

Lucjan. Słowa nie są dostateczne dla zawdzięczenia takiej przysługi.

Perrichon. To prawda!

Lucjan. Serce tylko... rozumiesz pan? Serce!

Perrichon. Panie Lucjanie! Nie! Pozwól mi się nazywać poprostu Lucjanem.

Lucjan. Bardzo proszę. (na str.) Każdy z kolei.

Perrichon (ze wzruszeniem). Lucjanie, mój przyjacielu, dziecko moje!.. podaj mi rękę. (bierze go za rękę) Winienem ci najśrodsze wzruszenia w życie. Gdyby nie ja, byłbyś w tej chwili kłębem bezkształtnym i odrażającym, pograżonym w lodowiskach... Tyś mi winien wszystko, wszystko! (z godnością) Tego ja nigdy nie zapomnę!

Lucjan. Ani ja.

Perrichon (do Hilarego, ocierając oczy). Ah, młodzieńcze!.. nie wiesz co to za rozkosz ocalić bliźniemu życie.

Anna. Ależ tato, pan Hilary wie o tem dobrze, skoro przed chwilą...

Perrichon (przypominając sobie). A, prawda! Panie gospodarzu, proszę o księgę podróży.

Pani Perrichon. Do czego?

Perrichon. Nim opuścę te miejsca, chcę stosownym wspomnieniem wypadek ten uświęcić.

Oberżysta (przynosząc księgę). Proszę pana.

Perrichon. A to co? Kto to napisał?

Wszyscy. Co?

Perrichon (czyta). „Zwracam uwagę pana Perryszona, iż morze bez r obejść się nie może, inaczéj jest to byk grammatyczny“. Podpisano: Major.

Wszyscy. Co to?

Anna (cicho do ojca). Tak, ojczel. Morze pisze się przez rz.

Perrichon. Wiedziałem o tem. Odpiszę ja temu panu. (Bierze pióro i pisze) „Pan Major jest... cap! Podpisano: Perrichon.“

Przewodnik (wchodząc). Powóz już czeka.

Perrichon. Daléj, w drogę! (do dwóch młodych ludzi) Jeżeli panowie zechcecie przyjąć miejsce? (*Hilary* i *Lucjan* kłaniają się).

Pani Perrichon (wołając na męża). Mężu, pomóż mi też włożyć płaszczyk (cicho). Ktoś oświadczył mi się o rękę Andzi...

Perrichon. Doprawdy? I mnie także.

Pani Perrichon. To pan Hilary.

Perrichon. A mnie Lucjan, mój przyjaciel. Lucjan.

Pani Perrichon. Ależ zdaje mi się że tamten...

Perrichon. Pomówimy o tem później...

Anna (w oknie). Ah, co za ulewa!

Perrichon. Do licha! (do Oberżysty) Na ile osób powód?

Oberżysta. Cztery w środku a jedna na kozle ze stangretom.

Perrichon. To akurat tyle wiele potrzeba.

Hilary. O mnie proszę się nie troszczyć.

Perrichon. Lucjan usiądzie z nami.

Anna (cicho do ojca). A pan Hilary?

Perrichon (cicho). Trudno, jest tylko cztery miejsc; musi siadać na kozioł.

Anna. Na taki deszcz?

Pani Perrichon. Człowiek, co ci uratował życie!

Perrichon. Dam mu mój paltot kauczukowy.

Anna. Ah!

Perrichon. Dalej, w drogę! w drogę!

Lucjan (na str.). A co? Wiedziałem ja dobrze, że wypłynę na wierzch.

Koniec aktu drugiego.

(d. c. n.)

ZIELONE OKULARY.

FOTOGRAFJE BEZ RETUSZU

zjął z natury

Włodzy Skiba.

(Dalszy ciąg).

VI.

Dać dowód miłości, gdy się do tego żadna nie przedstawia okazja, gdy życie idzie regularnym biegiem, gdy okoliczności nie uwodzą na pokuszenie, co by mogło nastrożyć sposobność do zwalczania pokusy, jest zupełnie tak samo niepodobnym jak udowodnić swoją niewinność, gdy przeciw niej stoją tylko jakieś domysłowe poszlaki a nie wyraźne i kategorycznie sformowane zarzuty. Zdarzyło się niedawno we Francji, że któryś z sędziów instrukcyjnych wpadł na podejrzenie, że w pewnym morderstwie, popełnionem przed kilką laty, a przy którym zabójcy przywłaszczyli sobie znakomitą sumę gotówki, miał udział jeden jarmarczny szarlatan, człowiek żyjący z dnia na dzień, dziś w tem jutro w innym miasteczku, i rwący zębami bez bólu a pozostawiający bolące. Dowodów przeciw niemu nie było innych, prócz tego, że nie potrafił udowodnić dokładnie że nie był w okolicy w której popełniono zbrodnię, w dniu jej spełnienia. Biedaka tego aresztowano, trzymano pół roku czy nawet dłużej nie zadając od niego nic więcej, jak tylko tego żeby dowiódł, że w chwili spełnienia zbrodni znajdował się gdzieś indziej. Przerazony zarzutem jarmarczny dentysta, przyjął system obrony jaki mu nasuwano, ale że w koczującym swem życiu nie prowadził dziennika swoich wędrówek, i że czas ubiegły od morderstwa zatari zupełnie tak jego wspomnienia, oraz wspomnienia świadków, na których się powoływał, a dla których data jego pobytu w jakimś bądź miejscu nie mogła być zbyt ważną, żeby ją notowali lub uczyli się jej na pamięć, więc się plątał biedak coraz bardziej. W przekonaniu że jeśli nie dowiedzie swego *alibi* to zginie, wyrzucił zębów szukał coraz nowych dowodów a wszystkie były bezskuteczne. Sędzia instrukcyjny nie dowiódł mu że był na miejscu zbrodni, dowiódł mu tylko iż źle argumentuje że tam nie był. Stawiono go przed sąd przysięgłych. Prokurator jak zwykle prokuratorowie, domagał się jego głowy, jakby chodziło o jabłko lub gruszkę. W duchu zwykłej taktyki oskarżycieli, zależąc na tem, ażeby jeśli oskarżony się przyznał wyprowadzić winę z jego zeznania, a jeśli się zapiera, zwracać zaparcie przeciw niemu, utrzymując że gdyby był niewinnym nie potrzebowałby się tak zapierać, oskarżyciel publiczny oparł się na tém, że

gdyby obwiniony był niewinnym, nie chodziłoby mu tak bardzo o udowodnienie swjej niebytności w miejscu zbrodni, gdyż bytność sama nie jest bynajmniej dowodem winy. Ten sofizmat rozwinięty był tak zręcznie, poparty tyloma ogólnikami, że prawie wątpliwości nie ulegało, iż przemówi do sumienia sędziów. W ostatniej dopiero chwili biednemu szarlatanowi powróciła ta zręczność i przytomność umysłu, jakiej w ciągu całego swego życia przy prowadzeniu swego rzemiosła dawał dowody. Porzucił swój systemat obrony, pojął że czy był czy nie był na miejscu to nie dowodzi jego winy, przestał się powoływać na świadków, którzy zaręczyli, że przez kilka lat od czasu popełnienia mniemaniej zbrodni, która go miała uczynić Krezusem, nie miał nigdy więcej jak kilka franków razem, i raz tylko jeden dopuścił się zbytowego wydatku, kupując parę butelek wina na wesele swoje z kobietą, która mu wniosła 50 franków posagu, wyrzekł się tych dowodów, bo prokurator miał na nie odpowiedź gotową, że go mogli oszukać wspólnicy zbrodni, i na całą swoją obronę prosił tylko, żeby mu udowodniono, że nie ma prawa być niewinnym.

Sąd przysięgłych uwolnił go jednomyślnie.

Otóż w takim samym położeniu zostawać może każdy kochanek, od którego zażądają dowodu miłości, a stawiający podobne żądania sami sobie są winni, jeżeli zamiast dowodu którego żądają otrzymają tylko dowód odwagi, ambicji, zręczności, szlachetności, inteligencji albo szczęścia oskarżonego o niemilość, lub że przekonają się o prawdziwości uczucia dopiero wtedy, gdy się ono rozbije o przeszkody, które mu dla wypróbowania go sami postawić będą musieli.

Bohaterowie nasi prędko zrozumieli, że jedynym sposobem otrzymania dowodu miłości jest wystawianie jej na zręczne, chociaż niebezpieczne próby, i postanowili wypróbować się wzajemnie.

Z początku te próby były zupełnie niewinne, a nawet były to raczej takie kabałki, jak owa kabałka palcowa pana Jana.

Bohater nasz mówił sobie na przykład:

-- Pójdę dziś do nich... będę miał minę poważną, smutną, zamyśloną... Jeżeli panna Julja spyta mnie o powód tego smutku, to znać że ją moja boleść czy przykrość jakiejś doznaje obchodzi, a tem samem znać że mnie kocha... Jeżeli patrzeć będzie obojętnie, niczego się nie domysli, i o nic nie zapyta... ha!... to już po wszystkim.

Poszedł i zrobił minę taką bolesną, taką żałosną, jakby mu pozować kazano jaki model do posagu Laokoona.

Panna Julja zgadła od razu, że mu coś dolega... omyliła się tylko w tem, że boleści przypisywała w myśli nie psychologiczną, lecz patologiczną przyczynę. Nie zapytała więc o powód smutku, tylko tonem owego współczucia z jakim się pyta chorych co ich boli, rzuciła mu pytanie:

— Pan taki zmieniony?... co panu jest?..

Jak pan Jan na to pytanie, odpowiedział, mniejsza o to, dość że go troskliwość panny Julji mocno wzruszyła.

— Kocha mnie... nie ma co mówić, kocha, — powiedział sobie przyszedłszy do domu.

Tak samo niemal postępowała panna Julja.

— Jeżeli mnie kocha, to powinien być uważnym na moje najmniejsze życzenia i spełniać je nawet bez wezwania, — mówiła do siebie, — więc jak dziś przyjdzie w rozmowie potocznej wtrąć jakieś surowsze życzenie... cokolwiek mi na myśl przyjdzie. Jeżeli to zauważy i wykona, będzie w tem dowód, że mnie kocha. Uważajmy tylko w rozmowie, żeby schwycić odpowiednią sposobność.

Pan Jan przyszedł, zawiązała się rozmowa, pan Anzelm czatował na sposobność zwrócenia jej na ekonomję polityczną, panna Julja na okazję wśliźnięcia stosownego do okoliczności życzenia.

Loterja, której ciągnięcie odbywało się w tym dniu, przypadkowo stała się przedmiotem pogadanki. Pan Anzelm zaczął powstawać na ludzi, którzy się podatują dobrowolnie i płacą za nadzieję, co tysiące zawodzi, ażeby zzbogacić jednego.

W tej kwestji z żoną byli cokolwiek innego zda-

nia. Pani Anzelmowa zawsze trzymała piątkę ze swych oszczędności gospodarskich, i gdy była mowa o tym przedmiocie protestowała ostrożnie.

— Nie ma się czemu dziwić, mój mężu, któżby nie chciał być bogatszym jak jest?

— A pan, — wtrąciła panna Julja, zwracając się do pana Jana, — czy trzymasz pan na loterji?

— Nigdy pani, — odrzekł pan Jan, — umię przestać na małym. Ten pan zdaniem mojem, kto przestał na swoim.

— A! to Kochanowski powiedział, — popisała się pani Anzelmowa.

— Tak Kochanowski, — rzekł pan Anzelm, — mówiąc to jednak Kochanowski dowiódł że był mierzonym ekonomistą. Dobrze jest wychodzić z tej zasady, żeby nie grać ani w loterję, ani w żadną inną grę, jak to robi pan Jan, ale brać za pewnik, że bogactwo znaczy przestawanie na tem co się ma, jest to błąd ekonomiczny. Bogactwo zależy na tem, żeby mieć wiele i nietylko wiele, ale więcej od innych. Tak je określają najlepsi ekonomiści. Say powiada...

Tu pani Anzelmowa przerwała chcąc się znów z uczonością popisać:

— Przepraszam, że ci przerwę, ale wyszło mi w tej chwili z pamięci ilu Say'ów jest sławnych?

— Ekonomistów dwóch, — objaśnił pan Anzelm.

— Więc i ten ksiądz.

— Eh! nie... to Sięy...

— Ah! prawda Sięy... zapomniałam... to takie podobne do Say'a.

Odezwanie się pani Anzelmowej tym razem niekoniecznie mogło posłużyć do utrwalenia jej uczonej sławy. Panna Julja uznała za potrzebne zagadać tę niebardzo fortuną nawiasową rozmowę ojca z matką, i rzekła do pana Jana półgłosem:

— Mnie bo się zdaje, że Kochanowski miał rację, chociaż o tem inaczej mówią ekonomiści... Zauważę że dotąd nie miała sposobności czytać pism tego księcia poetów naszych... Nam dziewczętom tak rzadko wpada w rękę książka stara, że nieraz rumieć się musimy za nieznaną naszą literaturę dawniejszą.

Pan Anzelm wpadłszy na temat o bogactwie rozgorączkował się i chciał prawić dalej, ale go odezwanie się żony zbiło z tropu. Pamiętał o statni wyraz ale nie pamiętał wątku. Zbliżył się do pana Jana i zlekka położywszy mu rękę na ramieniu dalej mówić zaczął:

— Say powiada... to jest... właśnie... wyszło mi z głowy do czego prowadziłem... o czem tu mówiliśmy, panie Janie?

Pan Jan jak wiemy nie był bardzo uważnym słuchaczem rozpraw o ekonomji politycznej, tymbardziej teraz gdy panna Julja rozmawiała z nim zaczęła, przedmiot rozmowy zupełnie wyszedł mu z myśli. Zagabnięty w ten sposób zaczął się jękać:

To nie ja panie mówię... to Mill mówi... ten sam Mill, co chce żeby kobiety miały prawo do głosowania...

— John Stuart Mill, — przerwała pani Anzelmowa.

— Ten sam moja duszko, ten sam, on tak powiada... Francja z kraju, w którym było niewiele bardzo bogatych i niezliczona liczba zupełnie ubogich, stała się krajem w którym przeważa stan średni, owe haftowane lub wykładane futrem suknie, owe kapelusze z piórami lub galonami zastąpił prosty frak i okrągły kapelusz... nareszcie spadła cena djamentów.

Panu Janowi zdawało się że się przesłyszał:

— Jakto?... cena djamentów? — zapytał.

— Tak jest panie... tak mówi Roscher, — odparł pan Anzelm.

— Wilhelm Roscher, — uzupełniła pani Anzelmowa.

Od Roschera rozmowa poszła dalej. Gonić za nią nie widzimy potrzeby, dość dla nas, że pan Jan to jedno z niej zapamiętał, że panna Julja rada była czytać Kochanowskiego.

Nazajutrz przyszedł z Kochanowskim pod pachą. Nie przeczytał go ani nie przejrzał nawet, bo byłby pewno z edycji, która mu się dostała, niektóre rzeczy wyłączył. Panna Julja nie przeczytała także, bo gdyby napotkała pewne miejsca, mogłaby się była obrazić, ale żywo była wdzięczną panu Janowi, że tak w lot schwytał i wypełnił jej życzenie.

— Kocha mnie niezawodnie, — mówiła do siebie, — bo gdyby nie kochał czyżby tak zważał na każde moje słówko, że aż na to co mówi ojciec nie ma czasu zwracać uwagi, i kiedy mowa o bogactwie, myśli, że rzecz idzie o rewolucję francuzką.

(d. c. n.)

Co lubi kobieta?

Co się podoba kobiecie?
Jaki kwiatek uszczknąć rada?
Tyleż, tyle złud na świecie,
Kto je zliczy! kto je zbada?

Ta lic blaskiem — istna róża,
Ściąga mnogi rój motyli!
Nim listeczki strąci burza,
Nim lodygę skwar pochyli.

Tamta lubi jako pszczołka
Z wonnych ziółek zbierać miody,
Ta w gniazdeczku jak jaskółka,
Rój pisklatek tuli młody.

Dla tej miłe liry dźwięki,
Tamtęj miłszy pomruk kotka,
Ta z lnu watek snuje mięki
Ta nic, z marzeń kołowrotka.

Ta papużce się przymila,
Ta kanarków pieści chmary,
Tamta woli krokodyla
Jak powiedział Papkin stary. (1)

Ah! jest urok co pobrzmiwa
Po nad inne złud tumany,
Ileż biednych, z wiedzy drzewa
Lubi owoc zakazany!

Tego drzewa dziwna władza.
Jak ponęty ujęć uroczej?
Z roku na rok się przeradza,
Nowym jabłkiem błyska w oczy!

Wciąż jabłuszko barwy zmienia,
Coraz złudniej oko pieści,
Dzisiaj hasłem wyzwolenia,
Stumaniło wzrok niewieści.

„Bóg nam skrzydła dał sokole —
Nowe Ewy rzekną śmiało —
Ciasne działań naszych pole.
Rosprzestrzeń nam przysłało”.

„Zrzućmy z serca próżną trwogę,
Czas wydzwignąć skroń z pomroku,
Włóżmy *biret*, wdziejmy *togę*.
Szkalpel w rękę, miecz do boku!”

(1) Zemsta za mur graniczny. (Kom. Fredry).

O kobieto! kto cię zdoła
Z tych uludnych wyrwać sidła? —
Lepiej, lepiej od anioła
Promienistych pożycz skrzydła.

In na ciebie chwala czeka,
Po nią jasnym sięgnij czołem,
Chcesz się dobić praw człowieka
Ty, co mozesz być aniołem!

S. D.

Pogadanka.

Na czele dzisiejszego numeru pomieszczone zostało Sprawozdanie z Konkursu, ogłoszonego w Grudniu r. z. przez Redakcję Przyjaciela Dzieci. Gościnność ta była konieczną, tymbardziej, że oba te pisma choć różne treścią pokrewne są sobie duchem i tak wzajemnie splecione, że usługa starszego z nich i poważniejszego staje się zupełnie naturalną. Tam bowiem Janek z Bielca przemawia do dzieci, tu do ich matek i siostr starszych, związek więc nierozzerwalny łączy je z sobą, jak serca kochającej się rodziny, jak błogie życzenia z pragnieniem ich urzeczywistnienia. Wstępne to słowo przeznaczam dla niechętnych, co radzi wszystko przeinaczyć i umiających drobnostki podnosić do godności zarzutu.

Ze sprawozdania tego dowiedzą się Czytelniczki Tygodnika Mód, że grono Sędziów uproszonych do rozważenia ogłoszonego konkursu, żadnemu z autorów tak nadesłanych powieści jak i rozprawek naukowych, nie przyznało wyznaczonej nagrody. Rozporządzający niemi bez żadnych ograniczeń Sąd konkursowy, uwzględnił tu rzeczywisty interes redakcji Przyjaciela Dzieci, której nie szło zupełnie o przysporzenie jej artykułów wątpliwiej wartości, jakich i bez konkursu dosyć ma nadsyłanych, ale o uzyskanie *dobrych* wypracowań, mogących pisma tego stać się prawdziwą ozdobą. Nadzieja zawiodła, o co zdaje się że ani Sąd konkursowy ani Redakcji winić nie można. Konkurs więc przedłużony został, bo lepiej było stanowczy z niego rezultat odwlec, jak narazić uwieczoną pracę na sprzeczność opinii publicznej. Cóż by bowiem w takim razie powiedziałano o gruntowności zdania Sędziów, gdyby nagrodzonej powieści krytyka wymaganych przymiotów nie przyznała? Czyżby to nie osłabiło wartości Przyjaciela Dzieci, zmuszonego drukować pracę w podobnych zostającą warunkach? Czyżby nie naraziło go na fałszywy sąd o całości, przez porównanie artykułu konkursowego z temi, które bez konkursu w kolumnach swoich pomieszcza? Do prac pismennych konkursem uwiecznianych, przywiązujemy zwykle szczerzej w powieściach wyobrażenie pewnej wartości dalekiej od pobłażania spowodowanego ubocznymi okolicznościami, jak np. zachęta lub brakiem czegoś lepszego. Mimo tego bez oparcia się na ostatecznym wyroku, którego ogłoszenie dziś dopiero nastąpiło, wystąpiono z żalami, w których nie uwzględniono ani niemałego trudności członków Sądu konkursowego, ani ich bezinteresownego poświęcenia, ani wreszcie dobrych chęci Redakcji nie nagloniej niżem do ogłoszenia konkursu, a nawet przeciwnie starano się rzucić na wszystko cień niekorzystnego podejrzenia.

Drobnostki to wszystko powiecie, smutne jednak robią wrażenie. Szperając po świecie, o drobnostki tego lub innego rodzaju co krok potrafić można. Mówić o nich konieczne trzeba, bo choć na szczęście nie wszyscy się niemi zaprzątają, wielu jednak służy im wiernie nie mogąc karlej swą myślą, podnieść do wzniolejszego na rzeczy poglądu.

Niedawno byłem w dość licznej zgromadzeniu. Gościnność gospodarzy pragnących wszystkich znajomych obdzielić zacnem swoim sercem, za ten wybryk niezwykły srodze ukarana została. Była to bowiem burza... w szklance wody, brakło tylko gradu i piorunów choć i na nie ciągle się zanosilo. Towarzystwo jakby złym duchem owiane, podzieli-

ło się na partje i partyjki, wedle stanowisk zajmowanych w świecie.

Wysoki nastrój ugrzecznienia i etykiety światowej towarzyszył wszystkim: *pardon monsieur!* rozlegało się na wszystkie strony, a jednak szeptano, lornetowano, szydzono w myśli a cicho obmawiano. Rolnik krzywił się na mieszczucha, ten pięknem płacił za nadobne, uciekano od przemysłowca a rzemieślnikowi, przyglądano się jak dziakiemu zwierzu, wypatrując gwałtem obcego i fartucha. Spojrzenia, uśmiechy, taniec, każde słówko, najmniejsze poruszenie, wszystko to było mierzone, wazone, obrachowane, jakby omotane w pajęczę nitki pojęć, od których czuć było pleśń i stęchliznę. Zdało mi się, że to szkielety minionej przeszłości, pobrzękują zardzewiałą zbroją; że pogański Rzym z wiarą w dwoistość natury ludzkiej, groźną dłoń wyciągnął nad światem. Przymus, sztywność, każdym zawładnęły, wszyscy chodzili jak spętani, mówili półsłówkami, uśmiechali się jak Judasi, niby to tańczono i bawiono się, bo muzyka grzmiała taneczna i w salonie w pośród rzesistego oświetlenia przesuwały się pary, ale w całym balowym pozorze znać było, że zebrany nie tyle szło o zabawę jak o zabezpieczenie swęj godności od zbytniego spoufalenia z inną w ich pojęciu niższą i mniej szlachetną.

W tem wrzeniu ludzkich słabostek, podobnem bardzo do czupurzenia się pawi między domowem ptastwem, zdawało mi się że świat roztworzył warowne swoje wierzeje, i ujrzałem przez nie tłumy spochylną głową, znękaną, bolejącą, ze skargą na ustach i narzekaniem.

Tłumiąc więc westchnienie, zapytałem sąsiada równie jak ja smutnie zadumanego.

— Powiedz mi co to za ludzie? Z jakiego powodu sami na siebie wtłaczają kajdany przymusu i boczając się jedni na drugich, samowolnie się torturują? Wszakże na warunkach dobrej zabawy nie zbywa, a jednak nudzą się, kwaszą i jakby im ciasno było i niewygodnie, każdego odrzucając ze wzgardą co w klasyfikacji światowej do innego kółka należy. Wszakże w kmieciej po Adamie spuściznie, jesteśmy wszyscy robotnikami przy jednym warsztacie, tylko ten lemiem kieruje, tamten piórem, inny młotem lub łokciem. Zkądże ta pychalcieć, to wzajemne lekceważenie tak straszliwy czyniące rozdział?

— Bo to są wszystko kowale — odrzekł zapytany.

— Kowale? powtórzyłem zdziwiony — nie rozumiem tej odpowiedzi.

— Tak, kowale, bo w kuźni przesądów sami własnymi rękami ukuli olbrzymi młot, którego czując bolesne razy, złorzeczą ręce co je wymierza, nie mogąc pojąć że sami ją podtrzymują. W teorii mistrze, postępowe wyobrażenia, zdania mędrców, służą im jak maczugi do szermierki językowej. Walał też niemi na wszystkie strony, rumot słów leci dalekim echem, cieszą się niem nawet pyszniąc chwytają cień pomiatając rzeczywistością.

I to także drobnostki, ale odnieśmy je do ogółu, z salonu wejźmy w świat, przejrzyjmy każdą jednostkę po szczególe, jakże mało znajdzie takich co im nie bije kornych pokłonów. Od maluczkiego wyrobnika aż do dumnie roztwartych podwoi naukowego przybytku, wszędzie je znajdziesz. Słabość natury ludzkiej ważną tu wymówką, ale dla czegoż nie wszyscy im ulegają?

Nudna to kwestja, okoliczności nie brakuje do jej podnoszenia, ale rzućmy ją w przepaść zatracenia, niech się zadławi własną swoją nicością.

W dzisiejszym numerze mieści się drugi akt komedji p. t. Uczynność i wdzięczność przełożonej z francuzkiego. Jest to sztuka pełna życia i zręczności, posiadająca wszelkie warunki dobrej komedji bo obrazująca społeczność z krytycznym na nią poglądem. Dla naszego Żółkowskiego pole w niej do popisu wielkie, ma też być podobno w teatrze przedstawioną. W Krakowie już ją znają od Maja, ale w przerobieniu na naszą miejscowość i nasze postacie. Jest więc tam Hijacynt Orgon bogaty piekarz warszawski, żona jego Pulcherja, córka Helena razem jadący w Tatry: jest Alfred bankier

Henryk urzędnik starający się o rękę powabnej i posażnej Heleny i wreszcie pułkownik Zawierucha. Przerabiania podobne czasami szczęśliwie się udają i nie można je ganić, ale żeby były dobre, trzeba koniecznie aby pozbawione wszelkich cech cudzoziemskiego pochodzenia, przyswoiły sobie miejscowy żywioł dla którego zostają przeznaczone.

Troskliwość o trafne djalogowania nie jest tu jeszcze dostateczną, musi ją koniecznie wspomagać wybór postaci z tejże miejscowości wybranych, zgodnych z jej duchem i usposobieniem i ze wszystkimi sytuacjami w sztuce przedstawionymi.

Gdy tego nie ma, najlepszy utwór przemienia się w śmieszny maskaradę, w której pod zwierzną szatą na krój polski uszyta, co chwila wygląda twarz cudzoziemską. Jak się z przeróbki tej wywiązał tłumacz p. Bobrowski sądzić trudno, ale nie przypuszczam żeby miał z niej wyjść zwycięzko. Komedja ta zanadto zaprawiona francuzkim dowcipem, zanadto rozlane w niej życie harmonizuje z wprowadzonymi do niej postaciami, za nadto wreszcie wybija w nich charakterystyka typu francuzkiego, aby można bez przemiany zupełnej, przedzierną ją na polską komedję. Nasz piekarz z bogactwem może być śmieszny, ale na inny zupełnie sposób jak rymarz francuzkich autorów: — nasza młodzież może być lekka nawet w staraniu się o dożywotnią towarzyszkę, ale objawy tej lekkości inaczej wybija się na zewnątrz od młodzieńców wprowadzonych do francuzkiej komedji. Zmiana więc samych tylko nazwisk z pozostawieniem całego tekstu w jego pierwotnym układzie, musi stać się rażąca i moc wrażenia przez widzów odebranego, osłabić. Wprawdzie wiadomości z Krakowa odebrane, przerobienie p. Bobrowskiego niezmiernie chwałą, dodając, że tak zręcznie dokonane zostało, że nawet trudno domyśleć się obcego jej pochodzenia, ale doświadczenie nas przekonało, że wieści z tego źródła dochodzące do nas czasami o przesadę potracają, że nie wszystko co tam świeci u nas za złoto wziętem zostaje.

Czytelniczki nasze przypomną sobie zapewne skargę na niektórych stolarzy tutejszych, pomieszczoną w jednej z Pogadanek, o wzbronienie zebrania w ich magazynach potrzebnych materiałów, mających posłużyć do przygotowania odpowiedniego o meblach artykułu. Nie wszędzie jednak natrafilimy na podobne złe pojęcie własnego interesu, a p. Lewanowicz utrzymujący skład mebli w hotelu Saskim, pierwszym był co chętnie ułatwił nam tę znużającą pracę. Wtych dniach skutkiem wiadomości podanej w Tygodniku, odebraliśmy list od p. T. O. obywatela z Sieradzkiego, w którym dziękując za rekomendację p. Lewanowicza, donosi zarazem, że potrzebując dom sobie urządzić całkowicie, potrzebne meble zamówił w jego magazynie, i że odebrawszy takowe gustownie i sumiennie wykonane, może go śmiało polecić publiczności.

DONIESIENIA LITERACKIE.

N. 76. Przyjaciela Dzieci wyszedł z druku i zawiera: Pielgrzym w Górach Sgo Sawy (Legenda Serbska z ryciną.) — Laponja, czyli zima spędzona pod ziemią, napisał Lucjan Falkiewicz (dokończenie.) — Wyspa Jawa (z ryciną). — Niebieski płaszcz. — Mały Wioślarz. — Myśli i Zdania. — Koń i Osieł. (wiersz) przez S. D. (z ryciną.) Korespondencja od Redakcji. — Cena w Warszawie miesięcznie kop: 35. Na prowincji w Cesarstwie i zagranicą, kwartalnie rs. 1 kop. 75.

O UBIORACH.

Chcąc dziś pisać o modach, trzeba zawsze zwracać się do kostiumów, gdyż niemi tylko magazyny zajęte i największa w nich panuje różnorodność.

Oprócz kostiumów wełnianych do bardzo modnych należą z jasnych zaknotów lub perkali odpasowanych, stosownie do potrzeby. I tak np. bywa spódniczka dolna i pelerynka lub szarfa szamao w ukośną czarną kratę, bluzka do tego i tunika szamao w drobniuch-

ny rzucik czarny; inna suknia dolną spódniczkę ma z falbaną w ukośne białe i fioletowe paski, pliski zdobiące zwierzną suknię z tegoż samego perkalu, suknia zaś zwierzną z paletocikiem z perkalu fioletowego w jednym kolorze. Perkale powyżej opisane sprzedają się w magazynach Warszawskich w sztukach z ryciną objaśniającą sposób zrobienia sukni, od 6 do 7 rs.

Gatunek perkalu jest najlepszy a co główne, kolory nie zmieniają się po praniu.

Kostiumy wełniane niewarto prawie robić w domu, tak ceny ich są przystępne po większych nawet magazynach.

Między innymi widzieliśmy kostium z *satin de laine* koloru szamao. Spódnica oszyta dwukrotnie w odstępie falbaną z tegoż samego materiału, której za nagłówek służy garnirunek układany jakby z tulipaników, wypadających jedne z drugich, zawsze z tegoż co suknia materiału. Dopełnienie kostiumu stanowi paletot weinany z tuniką rozcinaną i podpinaną po bokach, a oszytą do koła obwodu falbaną. Rękawy zwyczajne ubrane falbaną zwróconą do łokcia naśladowującą mankiet. Pasek spina się z tyłu na rozetę naśladowującą bratek. Cena pięknej tej sukni 22 rs.

Drugi kostium również z wełnianego atlasu w kolorze lila. Dolna spódniczka do ziemi, oszyta trzy razy w odstępie trzy calowej szerokości marszczoną falbaną. Miejsce zwierzniejszej spódniczki zastępuje paletocik do figury, którego przedłużona tunika z przodu ma poły gładkie podpięte tylko po bokach kokardami, z tyłu też sama tunika tworzy dwie wielkie bufy *à panier* jedna nad drugą ułożone, dolna oszyta wodą i falbaną marszczoną. Pasek spięty z tyłu na okrągłą rozetę. Cena tego kostiumu 20 rs.

Kostium z materiału *panama* koloru popielatego. Spódniczkę na ćwierć łokcia od dołu otacza plisa trzycalowej szerokości z tegoż co suknia materiału, objęta po obu swych stronach wypustką z *poult de soie* koloru fioletowego. Paletot do figury przody ma zaokrąglone, z tyłu tunika podpięta aż do paska za pomocą wielkiej kokardy z końcami; kokarda ta środek przez całą swą długość ma jedwabny fioletkowy, objęty jakby ramą z plisy popielatej, zakończonyj wypustką fioletkową u brzegu. Obwód paletota otacza plisa popielata z wypustką fioletkową. Cena tej sukni wynosi 15 rs.

Kostium z materiału półjedwabnego mieniący się fioletkowo z białem. Spódnicę otacza szeroki bardzo wolant marszczony, zakończony u góry ruszą z tegoż samego materiału. Bluzka do tego gładka ubrana pliskami z tegoż samego materiału. Jako okrycie do wyjścia na ulicę dodaną jest pelerynka, tworząca zarazem tunikę, ogarniowaną w około ruszą i falbaną, przypięta do figury za pomocą szarfy z końcami. Tunika podpięta trzy razy, dwa z boków i raz z tyłu. Cena 25 rs.

Okrywki przeznaczone do wyjścia na ulicę, wszystkie prawie mają kształt pelerynek dłuższych lub krótszych, podpiętych na plecach za pomocą rozet, lub przypiętych do paska. Okrywki takie karcikowe ubrane pliskami z atlasu i frendlami jedwabnymi są w cenie od 12 rs. i wyżej. Z kaszmiru czarnego podszyte jedwabną podszewką dochodzą do rs. 25. Na chłodniejsze dnię i osłonę codziennego ubrania, noszą szale szkockie z których łatwo zrobić można beduinę w razie upodobania. Szale te kosztują po 10 rs.

Beduiniki dla młodych panien są od 8 rs. we wszystkich ciemnych kolorach.

O kapeluszach niewiele jest nowego do powiedzenia, dotychczas koronkowe najwięcej mają powodzenia, do wykwinniejszego ubrania zawsze się noszą wysokie i wąskie djademy, których przystrojenie stanowi wielką ilość kwiatów różno kolorowych do mniejszego ubrania okrągłe kapelusiki chińskie najbardziej są poszukiwane, gdyż są najlżejsze i najmniej obciążające głowę i tak przeładowaną wielką ilością włosów, które pod postacią greckich łoków suto pokrywają całą jej powierzchnię, spadając u niektórych kobiet aż do paska na plecach.

Opis deseni do haftu oraz wzorów bielizny i sukienek dla dzieci.

N. 1. Narożnik do poszewki batystowej. Haft atlasowy, drobny stembenek, krataczki ażurowe.

N. 2. Narożnik również do poszewki batystowej. Deseń dziergany, dziurki w kółkach ażurowe.

N. 3. Szlak na batystową chustkę do nosa nad gładkim obrębem.

N. 4 i 5. Kołnierzyk i mankiet z haftem atlasowym.

N. 6 do 9. Deseń do rozmaitego użytku.

N. 10. Litery do znaczenia chustek do nosa.

N. 11. Sukienka muślinowa ozdobiona haftem i koroneczkami.

Krój N. VII Fig. 16 — 21.

Przedni bryt sukienki krajany jest w całości ze stanikiem z przodu i trzyma 38 centymetrów długości; w pasie szeroki jest 7 centy: u dołu 24 centy: Boki są gładkie, plecy ułożone w fałdkę i zapięte na guziki. Tylne bryty sukienki zupełnie proste przymarszczają się do stanika. Garnirowanie złożone ze wstawki haftowanej i koronkowej, otoczone jest bufką muślinową i tiulikiem. Na około sukienki 196 centy szerokiej, idzie falbanka układana w fałdy zaprasowane, zakończona u dołu tiulikiem, z przodu szersza jest jak przy tylnych brytach.

Bardzo ładnie wygląda taka sukieneczka na kolorowej jedwabnej lub muślinowej spodniej sukience, przybrana odpowiednimi kokardami.

N. 12. Sukienka dla dziecka na rękach.

Kroj N. VII Fig. 16 — 21.

Skrojona z alpagi lub innej lekkiej tkaniny wełnianej, powinna być podszyta muślinem; rękawki zaś pasek i karczek perkałem. Ozdobą tej sukienki białej alpagowej są ząbki ze wstawki niebieskiej, pliski białe alpagowe gładko naszyte i także same kokardki zrobione z paska 22 centy. długiego i 6 centy szerokiego. Brzegi paska, który służy za pięcie kokardki, obszyte są ząbkami ze wstawki.

Formy pod numerem 16, 17 i 18 mają zmniejszony krój oznaczony, jak również potrzebną długość i szerokość. Karczek do którego przyfałdowana jest sukienka z przodu i z tyłu, podszyty jest perkałem. Wykrój szyi i rękawki garnirowane falbaną haftowaną. Pasek 3 centy szeroki wymaga sztywnej podszewki.

N. 13. Sukienka pikowa ozdobiona taśmą.

Krój N. VII Fig. 16 — 21.

Na kroju dłuższej sukienki powyżej opisaniej, oznaczona jest długość i szerokość tej krótkiej sukienki. Ozdoby jej stanowi taśma szmuklerska pikowa w gwiazdeczki wyszywana.

N. 14 i 15. Kamizelka i kaftanik dla chłopczyka od 7 do 10 lat.

Krój N. XXI Fig. 53 — 57.

Garnitur ten ładnie wygląda z brązowego korciuku mieszanego białą nitką, z obłożeniem rypsem i atlasowymi guziczkami. Majtki mogą być ściągnięte na elastykę pod kolanami albo wolno spuszczone; z boków daje się lampas z brązowego rypsu lub taśmy wełnianej.

N. 16. Sukienka czyli Szlafroczek na rano dla dzieci do dwóch lat.

Krój N. III Fig. 6 — 7.

Podług fig. 6 przykrawają się jednakowo plecy i przód sukienki z piki w rzucik i zeszywają szwem francuzkim. U dołu szeroki obrębek zastąpić można perkalową listewką. W plecach daje się rozpo-

rek 20 centy: długi, podszyty perkalem lub tasiemką zapinany na guziki. Wykrój szyi objęty jest perkalowym ukosem, przy którym trzeba wpuścić haftowaną falbankę 1½ centy: szeroką. Rękawki podobnie ozdorbione.

N. 17. Płaszcz do kąpiel dla małych dzieci.

(Krój N. XIV Fig. 31 i 32).

Podług fig. 31 kraje się płaszcz z białej flanelki, dopełniając długość na 100 centy. obejmuje pasowym ukosem z flanelki i wyszywa nad tem desenik pasową i czarną włóczką. Kapturek biały z pasowem objęciem przyszywa się do fałdowanego u góry płaszczka, zakończą ukosem pasowym i sznurem z kwastami z czarnej i pasowej włóczki.

N. 18. Długa poduszka dla dzieci na rękach.

(Krój N. XII Fig. 30).

Wzór przedstawia poduszkę i kaftaniczek z perkalu białego w czarne kropki do codziennego użytku. Ząbki trojkanciaste ¾ centy. wielkie z tego samego perkalu, dają się naokoło poduszki przystębnowane pliską z białego perkalu. Środkiem poduszki idzie 3 centy. szeroka plisa do zapinania na guziki. Krój oznaczony jest liczbami centymetrów na długość i szerokość, podług którego najdokładniej wykonać można poduszkę. Więcej eleganckie poszewki robią się z białego nanzuku lub półbatystu. garniowane haftowaną falbanką naokoło.

Kaftaniczek powinien być zastosowany do powleczenia poduszki.

N. 19. Półbatystowa poszewka na długą poduszkę.

(Krój w zmniejszonym formacie N. XIII Fig. 30).

Przed wykrojeniem poszewki uszyć część półbatystu w zakładki, z której się wykrawa potrzebny wierzch do poszewki i podług wzoru ozdobić haftowaną wstawką i falbanką. Klarowne wstawki podszywają się kolorową wstążką, z której również zrobione są kokardy.

N. 20. Sukienka dla dziecka do lat trzech.

(Krój N. II Fig. 4 i 5).

W sukience tej karczerek z przodu jest prosty, na plecach zaś gdzie się zapina krajany skośno i podszyty cały perkalem. Prosta spódniczka 42 centy: długa, 100 centy: szeroka przymarszczona jest do karczeka. Rękawki szerokie podług fig. 5 marszczą się do paska, aby ręka swobodnie przejść mogła. Krajane podług fig. 7 nierównie są obcisłejsze.

N. 21. Paletocik na deszcz dla chłopca od 7 do 9 lat.

Krój N. XX Fig. 43 do 52 z oznaczeniem mniejszej formy.

Najpraktyczniejszy wyrób na przedstawiony paletocik jest materiał zwany: „water-proof.“ tak dla małych jak i większych chłopców. Zrobiony z popielatego lub brązowego wyrobu obejmuje się czarną taśmą i dodaje guziki rogowe do zapinania.

N. 22. Bluzka wycięta.

Wykrój bluzki, w ramionach i pachach skutecznie się podług formy dobrze leżącego stanika, z resztą dają się części gładkie, złożone z pieców i przodu, przymarszczone do paska lub wolno dłużej spuszczone do przycięcia suknią. Koroneczka, haftowane medaljoniki i kokardki z kolorowej wstążki uzupełniają całość bluzki.

N. 23. Stanik biały pod bluzkę.

Krój N. XXIV Fig. 73—75).

Po ukrojeniu staniczka z cienkiego płótna lub per-

kalu, zeszywają się wszystkie części i obrębiają u góry, wpuściwszy w obrębek sznureczek. Wstawki ażurowe tiulowe są na wierzchu przystębnowane i przewleczone aksamitką lub wstążeczką.

Guziczki do zapinania stanika białe płócienne.

N. 24. Sukienka pikowa dla dzieci na rękach.

(Krój N. V Fig. 11 i 12).

Sukienka ta może być z piki albo flanelki, w takim razie dziergają się na około ząbki kolorową włóczką i daje rzucik nad niemi.

Szywa stanika i rękawów podszyte są tasiemeczką.

N. 25. Spódniczka pod długą sukienkę.

(Krój N. IV Fig. 8 i 10).

Wykrojona z lekkiej dymki w paseczki 80 centy. długa a 160 centym. szeroka, przymarszcza się do gładkiego 1½ cent. szerokiego paska, urządzonego do ściągania w miarę potrzeby. Zamiast rękawków dane są tylko naramienniki obszyte dzierganą falbaneczką albo tiulikiem.

N. 26. Koszulka dla chłopczyka od 2 do 3 lat.

(Krój N. XVI Fig. 35 i 36.)

Stan 48 centy. długi zupełnie jest równy i zapięty na ramiączkach, które się podszywają listewką lub tasiemeczką dla większej mocy. W rozporki 15 cent. długie wszywają się kliniczki. Koszulka u góry i rękawki, obszyte są haftowaną langietką.

N. 27. Koszulka dla dziewczynki od 4 do 7 lat.

(Krój N. XVII Fig. 42—45.)

Elegancka ta koszulka zapięta na ramieniu, ma na przodzie karczerek haftowany, który tylko u góry przyszyty jest do koszulki i może być wykładany jak berta na sukienkę. Przednia część stanu kraje się podług formy, plecy zaś u góry zupełnie są równe przymarszczone i wszyte w pasek. Na ramionach dziurki i guziki do zapinania. Karczerek na przodzie i rękawki ozdorbione są wstawką haftowaną i langietką.

N. 28 i 29. Koszulka dzienna dla chłopca od 6 do 9 lat z kołnierzem marynarskim.

(Krój N. XVII Fig. 37 i 14.)

Szyje się zupełnie jak każda koszulka męzka. Gors jest podwójny tak zwany angielski, z małą falbanką karbowaną i dziurkami do zakładania małych kościanych spinek. Pasek 2 cent. szeroki zupełnie jest prosty, z przodu tylko trochę zwężony. Z tyłu na pasku przyszywa się guzik, do przypinania kołnierza marynarskiego z potrójnego płótna w około obstebnowanego.

N. 30. Majtki dla dziewczynki od 3 do 6 lat.

(Krój N. XIX Fig. 46 i 47).

Każda połowa podług fig. 46 w całości skrojona, zeszywa się od N. 7 do 8, dalej obrębia się tylna i przednia część i łączy razem od N. 9 do 10. Majtki z tyłu do N. 11 urządzą się do ściągania, przednia zaś część marszczona, wszywa się w pasek dubeltowy. U dołu można majtki ozdobić tiulikiem, wstawką lub tylko obrębkami i zakładkami.

N. 31 i 32. Flanelowa pieluszka.

Kwadrat z flaneli 61 centy. długi i szeroki przekroić ukośnie i zeszyć te dwie części, aby składały jeden podwójny trójkąt. Potem w odstępnie 3 centy. przestębnować, ukos przymarszczyć do paska prostego 6 centy. szerokiego a 59 centy. długiego, dodać tasiemeczki do wiązania i umieścić guziki i dziurki podług wzoru.

Opis okrycia „Serrano“.

Krój na drugiej stronie arkusza Fig. 1 — 5.

Do zrobienia okrycia potrzeba 450 centy: materji jedwabnej *gros grains* lub kaszmiru czarnego 67 centy: szerokiego. Po wykrojeniu dwóch części podług Fig. 1szej zeszywa się okrycie na plecach i daje listewkę 5 centy: szeroką z lewej strony naokoło. Na przednich częściach robi się wcięcie jak linja wskazuje do przeprowadzenia paska, plecy zaś marszczą się do gwiazdki i nakrywają paskiem, który się w bokach mocno przyszywa, 4 centy: szerokim, ułożonym z materiału okrycia w trzy fałdy ze stosowną podszewką i sztywną podkładką. Z tyłu dodana szarfa trzyma 46 centy: długości, 18 centy: szerokości: pukle większe 14 centy: długie, krótsze 9 centy: długie, złożone są podwójnie. Rusza 6 centy: szeroka i frendzla jedwabna 10 centy: szeroka uzupełniają to modne i zgrabne okrycie bez rękawów.

Kaftanik dla chłopca od 2 do 4 lat.

Krój Fig. 6 -- 12.

Kaftanik taki stosownie do pory może być zrobiony z koreiku lub letniej dymki albo piki, krajac podług fig. 6, 7, 9 i 10 po dwie części, a kołnierz w całości z dubeltowego materiału. Przody podszywają się u brzegu listwą z wierzchniego materiału, mającą 13 centy: szerokości u góry, 5 centy: szerokości u dołu i zaopatrują dziurkami i guzikami do zapinania.

Plecy zszywają się przez środek, aż do gwiazdki, gdzie następnie lewa strona podkłada się pod prawą, jak rycina wskazuje. Kieszenie wypadają w miejscach gdzie linje na przodzie oznaczone. Rękawy zeszyte od N. 17 do 18go mają około ręki z lewej strony podszytą pliskę 6 centy: szeroką z materiału wierzchniego; w pachę wszywają się trafiając N. 17 na N. 17 będący w plecach. Cały kaftanik objęty jest taśmą wełnianą lub bawełnianą odpowiednio do materiału.

Korespondencja.

Wandzie. Powiastka „Terenia“ nadesłana dla Przyjaciela dzieci zostanie wydrukowaną. Autorka w kierunku tym może korzystnie pracować, byle tylko starała się unikać przesady w przedstawianiu postaci wprowadzonych do opowiadania. W Tereni błąd ten nie razi, ale widać że autorka zostaje jeszcze pod wpływem dawniej szkoły, przyzwyczajonej do przedstawienia cnót i doskonałości, jakich nie znajduje między starszemi, co dopiero między dziećmi. Unikać także należy o ile można rozwlekłości: treściwość jest wielkim przymiotem każdego opowiadania, nadaje mu życie, robi go zajmującym i podnosi w uznaniu i wartości. O tyle więc słów używać należy, o ile konieczność tego wymaga, bo utwór każdy literacki wtedy tylko jest dobrym, kiedy nie z niego ująć, ani też dodać do niego można. Że autorka przymiot ten z czasem wyrobi w sobie, można tego być prawie pewnym. Staranne przeglądanie już wykończonych rękopismów, wielką do tego stać się może pomocą i pilna baczość na wskazaną powyżej uwagę natychmiast wykryje miejsca, które należy wzmocnić przez wykreślenie, a które rozjaśnić przez dodatki.

Korespondencja ta na wyraźne żądanie Autorki pomieszczona w Tygodniku Mód, niech świadczy że w Autorce Tereni widzimy zdolności, które przy usilnej pracy nader pomyślnie rozwinać się mogą.

Pani Emilji B. Naszyjnik z czarnych paciorek przewlekanych złotem, kosztuje rs. 6.

Pani Wiktorji S. Kolebka przedstawiona w N. 23. Ty. Mód, kosztuje w magazynie P. Flatau'a rs. 16, ozdobniejsza rs. 24.

Pani Balbinie R. Materac z dobrego materiału i czystego włosia kosztuje rs. 22.

Do dzisiejszego numeru dołącza się arkusz z deseniemi do haftu, oraz wzory bielizny i sukienek dla dzieci. Przytem cennik bielizny ze składu J. Reichla.